

KOŁO GRANIASTE

BARBARA
RYBAŁTOWSKA
KOŁO GRANIASTE

SAGA
„BEZ POŻEGNANIA”
TOM III



AXIS MUNDI

PROJEKT OKŁADKI: Natalia Harańczyk
SKŁAD: Positive Studio
ZDJĘCIA AUTORKI: Marta Szelichowska
REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska
REDAKCJA I KOREKTA: Elżbieta Makowska
KOREKTA: Iwona Hardej
KOREKTA TECHNICZNA: Basia Botowska

WYDANIE IV
ISBN: 978-83-8383-188-6
EAN: 9788383831886
ISBN E-BOOK: 978-83-8383-189-3

Copyright © by Barbara Rybałowska
Copyright for this edition © 2015 by Axis Mundi

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



*Byłaś tarczą mocarną,
Najczujniejszym czuwaniem,
Pierwszym sędzią łaskawym,
Bezmiernym kochaniem.*

*Przeciw światu – malutka,
Waleczna jak lwica,
Nikt się nigdy tak nami
Jak Ty nie zachwycał.*

*Nikt tyle nie przebaczył,
Nie nauczył tyle,
Nikt nie zwątpił w nas nigdy,
Jak Ty ni przez chwilę.*

*Wszystko, co w Nas najlepsze,
Pochodzi od Ciebie.
Z Tobą w piekle zesłania
Było mi jak w niebie.*

*Wykarmiłaś nas wiarą,
Nadzieją, kochaniem.
Byłaś z nami i jesteś,
Będziesz i zostaniesz.*

*Czy daleko, czy blisko
To nie ma znaczenia.
Dla miłości nad wszystko
Nigdzie śmierci nie ma.*

*Tyś mnie wciąż namawiała
Do pisania wierszy.
Weź więc ten najtrudniejszy,
Marny, lecz najszczerzy...*

Basia

*Książka ta oraz wiersz poświęcone są pamięci
Zofii Rybaltowskiej-Halki z domu Rydz (12 maja 1910 – 11 maja 2008),
która była pierwowzorem głównej bohaterki Sagi.*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Świeca wypaliła się niemal do końca, zdmuchnąłam ją i odłożywszy książkę, przytuliłam się do poduszki. Zapach roztopionego wosku przyjemnie drażni nozdrza. Nie czuję senności, patrzę na granatowe niebo za oknem. Noc jest pogodna i rozgwieżdżona. Stojący na parapecie aloes (dostałam go od żony organisty), w niewidocznej z mego legowiska doniczce, wygląda w ciemności jak kontur odległej plamy na kiczowatym obrazie. Lampa uliczna może ujść z powodzeniem za księżyc. Mrużę oczy i myślę, że gdybym namalowała taki obraz, nazwałabym go też jakoś kiczowato, np. „Hawajska noc” albo coś w tym rodzaju.

Wiatr uderzył o szyby i przypomniał mi, gdzie jestem naprawdę. Egzotyczna wizja odpłynęła wraz z ogarniającym mnie już ciepłkiem, będącym zapewne zapowiedzią snu. Słyszę miarowy oddech Kasi. Śpi otulona pierzynką blisko mnie. Tylko ona i ja w tej dużej przestrzeni zapełnionej rzędami piętrowo ustawionych pryczy... Za tydzień mają je stąd usunąć. Czy Teofil zdąży do tego czasu wrócić z meblami? W ogóle nie ma przecież pewności, czy uda mu się coś na zachodzie kupić, chociaż Majewski, namawiając go na tę wyprawę, miał pewność, że nie będzie daremna.

Majewski jest pracownikiem Państwowego Urzędu Repatriacyjnego i nieraz już tam jeździł z przesiedleńcami ze Wschodu. Przy okazji zwoził z tak zwanych Ziemi Odzyskanych

różne rzeczy, głównie naczynia i sprzęty domowe, którymi tutaj handlował. Sami kupiliśmy od niego fajansową miednicę i taki sam dzban na wodę, a także malowane porcelanowe pojemniki na produkty żywnościowe. Niemieckie napisy pokryłam olejną farbą tego samego granatowego koloru co oryginalne malowidła, a na tym wyskrobałam cienkie literki, mówiące o tym, co w którym z nich się znajduje: cukier, sól czy mąka.

Moja singerowska maszyna do szycia, której dowiezienie tu aż z Afryki przysporzyło nam tyle trudu, oddaje mi teraz nieocenione usługi. Posyłam już obrusiki i zasłonki do kuchni – biało-niebieskie, pod kolor porcelany – i brakuje mi tylko tejże kuchni. Teofil nie znalazł dotąd stałego zajęcia i to uniemożliwia nam wynajęcie mieszkania. Tylko mnie udało się dotychczas przepracować parę dni w bibliotece parafialnej. Bardzo by mnie taka praca na stałe cieszyła, niestety zastępowałam tylko chorą w tym czasie organiścińkę, która pełni rolę bibliotekarki. Jest to znakomity księgozbiór, należący przed wojną do jednego z okolicznych dworów. Jego właściciel, słusznie przewidując, że zostanie usunięty z majątku, zanim zbiegł za granicę, ofiarował parafii swoją gromadzoną starannie przez kolejne pokolenia bibliotekę. Dużo w tym wartościowej literatury fachowej z różnych dziedzin, jest też przekrój beletrystyki dla dorosłych i dzieci. Dostęp do tej biblioteki sprawia, że czasami zapominam o kłopotach, które nas zewsząd osaczają.

Od czasu przyjazdu do Zamościa (czy zdołam to miasto pokochać?) niczego nie jestem pewna. Ani naszego jutra, ani tego czy dobrze wybraliśmy port przeznaczenia, ani – i to jest najgorsze – moich uczuć.

Minęło prawie siedem lat od śmierci Piotra. Nie sądziłam, że kiedykolwiek zdołam go zapomnieć i wyjść ponownie za mąż, a jednak to się przecież stało.

Miałam dosyć samotnej walki z losem, a Teofil na pewno zasługiwał na zainteresowanie. Niewątpliwie był najbardziej godnym uwagi mężczyzną, jakiego spotkałam w czasie mojej tułaczki. Jednak i na niego nie zwróciłam uwagi, gdyby się tak bardzo o to nie starał. Kiedy doszło już do rozmów o wspólnym życiu, miałam jednak opory, nie wiedziałam, jak Kasia na to zareaguje, bo przecież wychowywałam ją w kulcie zmarłego ojca. Długo rozważałam wszystkie „za” i „przeciw”, zanim powiedziałam „tak”.

Odkąd wróciłam do kraju, mam wątpliwości, czy postąpiłam słusznie, wchodząc w nowy związek. Nie dlatego że mój mąż nie spełnia moich oczekiwań. Przyczyna tkwi we mnie. To ja nie potrafię dać mu tyle, na ile zasługuje, zawierzyć mu do końca, nie obwiniać go w duchu bezsensownie o to, że życie po powrocie do kraju nie układa nam się tak, jak oczekiwaliśmy. Zaczęło się to chyba od momentu, kiedy po przekroczeniu granicy w Dziedzicach dowiedzieliśmy się, że nie mam szans wrócić do Warszawy, bo została niemal doszczętnie zrujnowana i nie ma co marzyć o urządzeniu się tam, jeśli nie posiada się rodziny z mieszkaniem. Teofil przyjął tę wieść niemal z ulgą, proponując od razu osiedlenie się w jego rodzinnych stronach. Przystąpiłam na to, ale zadra w moim sercu zaczęła się rozrastać. Zadra tym bardziej uciążliwa, iż wiem, że nie do końca mam rację. Przecież on ma takie samo prawo do przywiązania do bliskich mu miejsc jak ja, to po pierwsze. Po drugie martwi mnie sam fakt, że przychodzi mi do głowy, żeby go obwiniać, bo to świadczy, że nie ma może we mnie tyle uczucia, ile potrzeba. Dużo ostatnio o tym myślę i stąd te bezsenne noce. A może przyczyna tkwi w czymś innym?

Może tak deprymująco wpływają na mnie te nagle napady bólu w dole brzucha. Zdarzają mi się od dwóch tygodni coraz

częście). Czuję się zmęczona, osłabiona i zgorzkniała, jakby wszystko było już poza mną, a mam przecież dopiero trzydzieści sześć lat! Dopiero czy może już?

Najgorsze są te nocne rozmyślenia. Powinnam z tym skończyć.

Tylko jak? Z westchnieniem przewracam się na drugi bok. Która to może być godzina? Nie chce mi się sięgać po zegarek, tak ciepło jest pod kołdrą. Powinnam może wstać i przegrzebać w piecu, żeby żar ostał się do rana. Waham się, czy tego nie zrobić, w końcu lenistwo zwycięża. To też nie jest w moim stylu. Sama sobie się dziwię...

Jedna z jasno świecących gwiazd w zgrubieniu szyby rozmazuje się i rozszcza na drobne, ostre, migotliwe kruszyny. Zupełnie jakby do mnie mrugała. Jeśli spadnie, kiedy wypowiem jakieś życzenie, to ono się spełni – postanawiam.

Wbrew myślom, które przed chwilą snuły mi się po głowie, szepczę: „Chcę, żeby Teofil dzisiaj wrócił”. Roześmiałam się sama z siebie, z mojej niekonsekwencji. Bo oto wątpliwości spędzają mi sen z powiek, a przecież przyzwyczałam się już do opiekuńczej obecności mego męża i martwię się, czy nic złego mu się nie stanie w podróży.

Dzięki temu, że jakoś polubili się z Majewskim, możemy zostać w domu noclegowym do czasu znalezienia mieszkania. To on nam to wyjednał w ratuszu. Tym razem pojechał do Opola i Wrocławia ciężarówką i namówił Teofila, żeby mu towarzyszył. Podobno można tam za bezcen kupić od szabrowników eleganckie meble z opuszczonych przez Niemców domów.

Jaka to jednak ulga, że nie wyjedziemy na wieś!

Teofil, załamany, że nie może znaleźć pracy, wpadł na pomysł, żeby może osiąść na gospodarstwie po jego bracie, który zginął na froncie.

Szczegółowe wiadomości o losach zmarłych rodziców i bracie Teofila przywiózł nam jego stryj Jędrzej. Zabrał nas do Nożewa saniami zaprzężonymi w parę koni. Po drodze namawiał do pozostania tam na stałe, bo mój mąż jako jedyny ocalały z rodziny powinien wszystko dziedziczyć.

Okazało się, że jest to piętnastohektarowy kawałek ziemi z dość obszernym, ale zupełnie zdewastowanym domem. Spędziliśmy tam dwa dni i zrobiło to na mnie przygnębiające wrażenie. Dom stał na skraju lasu nad rzeką skutą lodem. Kilka oszronionych owocowych drzew i jak okiem sięgnąć zasypane śniegiem pola. W odległości paruset metrów kilkanaście pokrytych strzechą chat i ani szkoły, ani sklepu – zabita deskami wieś. Może lubiłabym przebywać na łonie natury latem, jednak zimą to miejsce, nie wiem czemu, skojarzyło mi się z Syberią – ten biały bezkres, mroczny las tak podobny do tajgi, śpiewny akcent mieszkających tam ludzi i świadomość, że tuż za horyzontem jest granica z Rosją Sowiecką, wszystko to zbyt żywo przypominało mi miejsce, gdzie tyle wycierpiałam.

Teofil natomiast, porwany wspomnieniami z dzieciństwa, zaczął rozważać możliwość osiedlenia się tam, a moje złodowaciele ze strachu przed taką perspektywą serce zdawało się we mnie zamierać.

Wczoraj nadszedł list z Nożewa od stryja, że nasze nazbyt długie wahanie sprawiło, iż gospodarstwo zostało upaństwowione i weszło w skład spółdzielni produkcyjnej, czyli czegoś w rodzaju kolchozu, sowchozu czy jak to się u naszych sąsiadów nazywa. Stryj jest rozżalony, że Teofil nie sprzedał mu tej ziemi. Pisze, że gdyby to uczynił przed jej upaństwowieniem, majątek pozostałby w rodzinie. Czytałam ten list z poczuciem winy, ale zaraz potem w radio usłyszałam audycję o tym, jak parceluje się gospodarstwa ponaddziesięciohektarowe, by

podzielić je między biedniejszych rolników. Bo ogłoszono właśnie walkę z kułakami, czyli właścicielami większej ilości gruntów. Wyszłoby więc i tak na to samo, bez względu na to, czy stryj kupiłby, czy nie ziemię brata Teofila.

Kiedy moje nocne zmory dojrzały do tego punktu i gdy uśmiechnęłam się na myśl, że wizja zamieszkania na tym bezludziu odpłynęła na dobre, poczułam, że ogarnia mnie coraz większa błogość i nareszcie zapadłam w sen.

Rankiem wrócił z podróży wymizerowany Teofil.

* * *

Wielka plama słońca wpadającego przez ogromne okno rozłożyła się na świeżo wyszorowanej podłodze. Zmęczona usiadłam we wnętrzu na niskim, szerokim parapecie.

Chwała Bogu, że dom noclegowy Urzędu Repatriacyjnego mieści się w zabytkowej baszcie Starego Miasta, położonej tuż przy fosie. Przynajmniej nie jest to prowizoryczna bezosobowa budowla, jak te wszystkie baraki, w których przyszło nam mieszkać od powrotu do kraju.

Słońce mocno przygrzewa przez szybę. Za oknem śnieg topnieje, ludzie drepczący ulicą za fosą omijają kałuże, chlupocze im pod nogami błoto. Wygląda na to, że zaczyna się wiosna.

Kasia siedzi obok mnie i pisze list do Romy. Ciekawa jestem, czy ten list zostanie ją w Kodży, bo jeszcze zanim wypłynęliśmy z Mombasy, dochodziły do nas słuchy, że mają ewakuować stamtąd polskich uchodźców.

Wszyscy ludzie, którzy przyjechali tutaj z nami, odszukali już swoje rodziny i dotarli do domów lub zakotwicyli się gdzieś na dobre. Zostaliśmy w PUR-ze zupełnie sami. To dlatego mogłam nareszcie tę naszą salę czy komnatę – bo przecież

nie sposób nazwać pokojem pomieszczenia o powierzchni prawie sześćdziesięciu metrów – porządnie wysprzątać i trochę się tu zagospodarować, tak by dopóki nie znajdziemy mieszkania, czuć się tu bardziej swojsko. Poustawiałam walizki na pryzkach, pozasłaniałam to wszystko firankami uszytymi z perkalu. Taką samą zasłonką oddzieliłam kąt z żelaznym piecykiem, na którym gotuję. W pobliżu ustawiłam też wiadra z wodą, miednice i całe moje gospodarcze prowizorium.

Kiedy zaczęłam już cieszyć się z tego, że wymościłam dla nas jako takie gniazdko, przyszli ludzie z urzędu miasta, żeby zabrać sprzęty należące do Urzędu Repatriacyjnego. Poza dwiema ogrodowymi ławkami, przytaszczonymi z pewnością z parku przez tych, co mieszkali tu przed nami, i poza skleconymi z surowego drewna piętrowymi pryzkami, nic do zabrania nie było. Gorliwy urzędnik nie dał jednak temu wiary i kazał wynosić również rzeczy należące do nas, choć tłumaczyłam, że żelazny piecyk, a także skrzynię na węgiel kupiliśmy na targu. Całe szczęście, że meble przywiezione z zachodu przechowujemy w wozowni parafialnej.

Urzędnicy z ratusza pewnie posądzali nas o jakieś kombinacje, skoro jeden z nich powiedział:

– Jeśli wprowadzicie mnie obywatelko w błąd, nie ujdzie wam to na sucho. Własność państwowa jest zdobyczą nowej władzy i nikt sięgać po nią nie ma prawa, a już zwłaszcza wy, coście jeździli sobie po świecie, zamiast walczyć z wrogiem!

– Nie wróciliśmy, proszę pana, z wycieczki turystycznej, tylko z zesłania. I proszę się do mnie nie zwracać per „wy”, bo to nie jest forma popularna wśród dobrze wychowanych ludzi.

Ta moja uwaga wyprowadziła go do reszty z równowagi.

Palnął mi wykład o tym, że wszystkim wiadomo, skąd wracamy, że ponad cztery lata zażywaliśmy wywczasów w Afryce,

ufundowanych nam przez reakcyjny rząd emigracyjny. Mówił też coś o obyczajach, do których będę się musiała dostosować, bo jeśli mam nadzieję, że wrócą dawne czasy, to jestem w błędzie. Zaperzył się tak, że aż jego kolega zawstydzony przestępował z nogi na nogę i starał się to całe zajście załagodzić. Dopiero gdy zarządca domu noclegowego poświadczył na naszą korzyść, po rozebraniu pryczy i wyniesieniu ławek mężczyźni wyszli, pozostawiając mnóstwo strużyn, gwoździ i liczne błotniste plamy na doszorowanej przeze mnie do białości podłodze.

– Proszę pani – powiedział zarządca – niepotrzebnie pani wdaje się w dyskusje z takimi ludźmi. Z nimi się nie wygra. Oblegają teraz wszystkie urzędy i panoszą się jak kury na grzędzie. Biedy sobie może pani tylko napytać.

Wzruszyłam ramionami. Na tym więc ma polegać ten nowy porządek, że bezsens i złe manery mają wziąć górę?

Podziękowałam, że zechciał się za nami ująć, i zamknąwszy za nim drzwi, zabrałam się do sprzątnięcia brudu, jaki zostawili na mojej podłodze nieproszeni goście.

Teraz oto wreszcie skończyłam i usiadłam sobie na chwilę, żeby pocieszyć się wiosennym słońcem wpadającym przez szyby.

Baszta, w której mieszkamy, jest częścią zabytkowej twierdzy pozostałej ze starych murów obronnych z szesnastego wieku. Ściany jej mają prawie półtora metra grubości, a więc i parapet jest też odpowiednio szeroki. No i długi, bo zwieńczone łukiem okno rozciąga się niemal na całą ścianę komnaty. Była ona kiedyś prawdopodobnie miejscem, gdzie stacjonował przed wiekami niemały oddział obrońców twierdzy. Tu może odpoczywali, bawili się, a może rezydował tu ich dowódca? Nasuwa mi się myśl, że okno to w ciągu stuleci musiało zmieniać swój kształt, a szczególnie rozmiar, aczkolwiek jego

zwieńczenie jest bardzo stylowe. Nie pasuje mi jednak ta jego imponująca wielkość do budowli obronnej.

Jakie by jednak nie było i do jakiej by nie należało epoki, nam teraz służy doskonale. Nie dość, że pozwala słońcu rozjaśnić nasze ubogie tutaj życie, to jeszcze spełnia różnorakie pożyteczne funkcje.

Nie mamy stołu, przystawiamy więc ławkę i jemy na parapiecie przykrytym obrusem. W jednym kącie Kasia poukładała swoje książki, zeszyty i odrabia tam lekcje, w drugim mój mąż rozłożył swoje papiery.

Teofil zostanie prawdopodobnie przyjęty do pracy w starostwie i w związku z tym musi zgromadzić wymagane dokumenty. Ma z tym kłopot, bo dysponuje przeważnie papierami z wygnania, a te nie budzą zaufania nowych władz. Poza tym musi wypełnić szczegółową ankietę z ogromną liczbą pytań dotyczących jego bliższej i dalszej rodziny.

Kasia skończyła pisanie listu i postanowiła pójść na pocztę, żeby go wrzucić do skrzynki.

– Dokąd tak pędzisz? Omal mnie nie przewróciłaś! – Usłyszałam głos Reginy, na którą córka moja wpadła w drzwiach z impetem.

Regina wyprowadziła się do pokoiku w mieście kilka dni temu. Przyjechała tu z ojcem i jego nową żoną z terenów zajętych przez Rosjan. Niezbyt dobrze układały się jej stosunki z macochą, toteż za wszelką cenę chciała się usamodzielnic. Zabrała się do tego energicznie i znalazła pracę jako pielęgniarka w szpitalu, ma bowiem za sobą dwa lata studiów medycznych. Mimo protestów ojca postanowiła odłączyć się od rodziny. Iwańscy pożegnali się z nią, wsiedli do pociągu, ale zanim ruszył on ze stacji, ojciec Reginy wyrzucił na peron wszystkie rzeczy i wyciągnął z przedziału zdumioną żonę.

Oświadczył kategorycznie, że nie pojedzie dalej, bo nie chce żyć z dala od jedynej córki. Złożyło się tak szczęśliwie, że w domu, w którym urządziła się Regina, znalazło się jeszcze jedno małe mieszkanie piętro wyżej i właściciel zgodził się im je odnająć. Są zatem blisko siebie, ale nie mieszkają razem.

Transport pozostałych kresowiaków wyjechał aż pod Wrocław. Mają tam dostać poniemieckie gospodarstwa w zamian za te za Bugiem, z których wysiedlili ich Sowieci.

Wszyscy, z którymi wracaliśmy z Afryki, rozproszyli się gdzieś po kraju. Nikogo prawie nie znam jeszcze w tym mieście, dobrze więc, że ci najnowsi nasi znajomi przynajmniej stąd nie wyjadą.

Regina zaróżowiona, z kosmykiem ciemnych włosów wymykających się spod puszystej, angorowej, zawiązanej pod brodą czapeczki, wygląda prześlicznie. To już nie ta sama zakutana w chustki, z wiejska nosząca się dziewczyna, którą poznałam przed miesiącem.

– Straszne błoto na ulicach, czuję, że stopy mam zupełnie mokre – powiedziała, pokazując mi swoje nogi obute w modne oficerki.

Nie wiem, w jaki sposób w ciągu miesiąca zdołała nagromadzić tyle modnych detali swego stroju. Musiała chyba wydać na nie całą swoją pierwszą pensję. Kiedy pytam ją o to, śmieje się i mówi:

– Musisz Zosiu trochę wyrzeć na świat z tej swojej hawry. Siedzisz tu i siedzisz, nie wiesz nawet, jaki tu jest wspaniały targ. Wszystko można kupić za bezcen.

– Poczekam jeszcze trochę z zakupami. Na razie wystarczą mi szmatki przywiezione z Afryki – powiedziałam, a pomyślałam: – Niedługo i tak będę musiała wszystko przerabiać...

Odebrałam dzisiaj wynik badania, który potwierdził to, czego się domyślałam. Jestem w trzecim miesiącu ciąży!

Rozterki mego męża, który po pierwszych kłopotach ze znalezieniem pracy wydaje się teraz żałować, że wróciliśmy do kraju, jak również to, że czuję się ostatnio osłabiona, nie nastroją mnie optymistycznie.

Żywnościowe paczki unrowskie, które dostaliśmy po przekroczeniu granicy, już nam się kończą, kartek na pieczywo i mąkę jeszcze nie dostajemy, bo nie pracujemy, i doprawdy nie wiem, czy nowina, jaką mam do zakomunikowania Teofilowi, w tej sytuacji go ucieszy.

– Zosiu, wydajesz mi się czymś zaaferowana – powiedziała Regina, przyglądając mi się uważnie. – Czy ty się dobrze czujesz? Wydaje mi się, że ostatnio zmizerniałś.

– Naprawdę? Nie zauważyłam tego. Wiesz, trochę się dzisiaj napracowałam. Musiałam aż dwa razy wyszorować podłogę.

Opowiedziałam memu gościowi o nieprzyjemnym zajściu.

– Gdybyś chodziła co dzień do pracy, tak jak ja, nie dziwiłabyś się nowym obyczajom. Właśnie! Dlaczego ty nie chcesz poszukać sobie jakiegoś zajęcia? Kasia jest przecież na tyle duża, że nie zaszkodziłoby jej, gdybyś wychodziła z domu na kilka godzin.

– Byłam zmuszona zostawiać ją samą w domu, kiedy była zupełnie mała, ale teraz... wiesz... ja teraz znowu spodziewam się dziecka.

– To cudownie! – wykrzyknęła Regina i zarzuciła mi ręce na szyję.

– Tak sądzisz?

– Jak to, nie cieszysz się?! – Spojrzała na mnie zdumiona. Milczałam.

– Mój Boże, co ja bym za to dała, żeby być na twoim miejscu!

Regina straciła narzeczonego. Zginął w Berlinie w ostatnim dniu wojny. Kiedy zobaczyłam, że jej wielkie błękitne oczy zaszklily się od łez, zrobiło mi się przykro.

- To, co teraz czuję, jest skomplikowane. Radość przeplata się z niepewnością, obawą o jutro i... nie umiem sobie z tym wszystkim poradzić.

- Ależ to zupełnie naturalne w twoim stanie. Zmienne nastroje i tym podobne rzeczy. To zupełnie naturalne.

- Nie jestem pewna. Ja chyba jestem nieco rozchwiana uczuciowo po tym, co przeszliśmy. Może potrzebuję trochę czasu na to, żeby wdrożyć się do normalnego życia? Poza tym boję się o Kasię. Co będzie, jeśli coś się ze mną stanie?

- A cóż ma się z tobą stać?

- Sama mi opowiadałaś o różnych trudnych przypadkach w szpitalu.

- Ale to nie znaczy, że coś takiego musi się przydarzyć akurat tobie!

- A dlaczego nie?

- No wiesz, ty chyba po prostu masz chandrę. Zamiast tu siedzieć i zaprzętać sobie głowę takimi wizjami, chodźmy do parku, zobaczysz, jak lody na stawie puściły, i zaraz ci się zrobi różniej. Tylko załóż śniegowce, bo jest straszna odwilż.

Zanim wyszłyśmy, Kasia wróciła z poczty i zabrałyśmy ją ze sobą.

* * *

Rozległy park to jeden z niewątpliwych walorów miasta. Położony jest na dużej pagórkowatej przestrzeni między pałacem a dawnymi spichlerzami przy murach obronnych. Stawy otaczające parkowe wyspy połączone były kiedyś z fosą. Teraz od tamtej strony zagrodzono wodzie dostęp poza teren parku. Po obu stronach bramy, tuż za zaporą, dzieci zjeżdżają w osuszone doły na sankach, a na stawach mają lodowisko. Dla Kasi jest

ono czymś niezwykłym po pozbawionych śniegu afrykańskich zimach i dlatego jednym z pierwszych naszych zakupów po powrocie do kraju były łyżwy. W ciągu paru tygodni nauczyła się nie tylko nieźle na nich poruszać, ale potrafi nawet wykonać kilka trudnych ewolucji. Bardzo chciała się teraz przed nami popisać, niestety lód na stawie popękał i nikt już wejść na taflę się nie odważył.

Alejkami płyną strumyki wody, omijamy je, patrząc pod nogi. Słońce przygrzewa mocno i spod coraz cieńszej warstwy śniegu wyłaniają się ciemne łaty ziemi na klombach i szaro-żółte na trawnikach.

Tegoroczna zima, jakby chciała nas – odwykłych od niej – nauczyć szacunku do siebie, panoszyła się długo i srogo. Dopiero teraz wychynęły spod białych śniegowych kołder konary drzew, a jest już druga połowa marca.

Wdycham mocno zapach rozmokłej, odtającej ziemi. Idziemy z Reginą jedna za drugą, rozmawiając po cichu. Kasia biegnie przed nami.

– Wiesz, Zosiu, mam wrażenie, że twoja córa rośnie z godziny na godzinę. Za każdym razem, kiedy ją widzę, wydaje mi się wyższa. Ale cieniutka jest jak żmijka i taka zwinna. Czy ona potrafi w ogóle poruszać się powoli? Zawsze biegnie albo tańczy.

– Nawet zaczęłam się tym martwić. Taniec wydaje się być jej pasją.

– A cóż to za zmartwienie? Ty chyba dzisiaj postanowiłaś wszystkim się martwić. Niech sobie tańczy, jeśli jej to sprawia radość. Komu to przeszkadza?

W tym momencie Kasia podskoczyła i uniosła nogę wysoko nad głowę, po czym wylądowała siedzeniem w środku wielkiej kałuży.

– Wiedziałam, że tak się to skończy! – zawołałam. Pospieżyłyśmy do niefortunnej tancerki, żeby wyciągnąć ją z błota. Miała na sobie wełniane rajtuzy i krótką spódniczkę oraz gruby sweter. Wybierała się przecież na łyżwy. Wstała i wielka ciemna plama na pupie rozlewała się coraz szerzej.

– Mój Boże, zaziębisz się, biegnij szybko do domu.

– Nie pójdę. Wcale mi nie jest zimno. Nie przemokłam na wylot.

– Ale za chwilę przemokniesz. Zmykaj stąd, i to już!

Musiałymy zrezygnować z dalszego spaceru, bo Kasia ociągała się z odejściem. Ostatnio lubiła przysłuchiwać się moim rozmowom z przyjaciółką. Wyszłyśmy z parku i zanim dobrnęłyśmy do domu noclegowego, Kasia przewróciła się jeszcze raz przed jednym z mijanych sklepów na kaflowej posadzce. Tym razem nie mogła się podnieść sama i bałyśmy się, czy sobie czegoś nie złamała. Po chwili jednak była w stanie pójść dalej.

Tak to niesławnie skończył się nasz spacer tego popołudnia.

Dopiero po powrocie do domu noclegowego przypomniałam sobie, że to nie koniec kłopotów. Usunięto przecież prycze i trzeba będzie wymyślić, na czym będziemy spać, bo na razie sienniki i pościel poukładałam na podłodze.

Teofil powitał nas w progu z zakłopotaną miną.

– Dlaczego pozwoliłaś rozebrać wszystkie prycze? – zapytał. Jeszcze tu przecież mieszkamy.

– Nie miałam na to żadnego wpływu, usłyszałam nawet, że takim jak my, co jeździli sobie po świecie zamiast walczyć, nic się nie należy.

Opowiedziałam o moim zatargu z jednym z urzędników, a Teofil bardzo się tym zaniepokoił. Prawdopodobnie w kwietniu rozpocznie już pracę w starostwie, ale zanim ta decyzja